

Instytut Pamięci Narodowej

<https://ipn.gov.pl/pl/historia-z-ipn/archiwum/140539,Anna-Zechenter-Maria-i-Maria.html>
17.03.2026, 05:06

Anna Zechenter: Maria i Maria

Podczas niemieckiej okupacji żyły w Krakowie dwie Marie Bożkówny: pierwsza – pochodząca z katolickiej rodziny Bożków; i druga, właściwie Helena Goldstein – uratowana z krakowskiego getta przez przyjaciółkę, która podzieliła się z nią tożsamością, ryzykując życie nie tylko swoje, ale i rodziny.

18.03.2024

Tylko wejść do bramy

Kolumna Żydówek wyruszyła z getta do pracy. Znajdująca się wśród nich Helena wiedziała, że ma przed sobą jedyną szansę ocalenia. W umówionym miejscu, w bramie, czekała na nią Maria Bożkówna. Dochodziła jedenasta. Helena miała wyjść niepostrzeżenie z szeregu i błyskawicznie się tam wślizgnąć. W ostatniej chwili opadły ją wątpliwości. Ten moment wahania, który mógł kosztować ją życie, spostrzegła Maria. Wyszła na ulicę i stanowczym ruchem wciągnęła przyjaciółkę w ciemność bramy. A potem obie ruszyły do przygotowanego mieszkania.

„Natychmiast złapałam ją pod rękę, ściągnęłam z rękawa opaskę i zarzuciłam na kołnierz futerko – mówiła Pani Maria. – Na mocy rozporządzenia z grudnia 1941 r. Żydom nie wolno było nosić futer. Niemcy odbierali je Żydom w getcie – ludzie topili futra, palili, żeby tylko im nie dać, chociaż i tak nie mogli w nich chodzić. I Hela też musiała oddać futro z kołnierza i została jej, jak sądziłam, podszewka. Prawie wszyscy nosili wtedy przy paltach futra – ci bogatsi karakulę czy wydry, a biedniejsi choćby królika. Jeżeli ktoś nic nie miał, to albo był Żydem, albo żył w wyjątkowej nędzy. Jeżeli więc jesienią czy zimą kobieta szła ulicą w płaszczu bez niczego na kołnierzu, mogła budzić podejrzenia. Zagrożenie było tym większe, że ciemnowłosa Hela miała wybitnie semickie rysy. Miałam małego liska, więc go wzięłam. Pomyślałam: »Na pewno przyjdzie z gołym kołnierzem, więc trzeba jej to dać«”.

„Mamy Polskę!”

Maria Bożek-Nowak, drobna starsza pani o dobrych, ale stanowczych oczach, siedziała na kanapie w blokowym mieszkanku w Bronowicach, gdzie z trudem mieszczą się meble z przedwojennych czasów. Opowiadała o swoich wyprawach do krakowskiego getta, uratowaniu Heleny i kontaktach z innymi Żydówkami, jakby mówiła o najzwyklejszych sprawach – ot, takie było wówczas życie. Przed wojną mieszkała z rodzicami, Franciszką i Antonim, oraz rodzeństwem, Edmundem i Aleksandrą, w kolejarskim domu przy Wielickiej – daleko od centrum miasta, w obrębie prawobrzeżnej dzielnicy, Podgórze, której część Niemcy zamienili później w getto. Jej ojca, który miał korzenie węgierskie, a do szkół chodził w Wiedniu, powołano w 1914 r. do wojska austro-węgierskiego. Kiedy I wojna światowa dogasała, był już żonaty i przyjechał na urlop do Krakowa. Widział, jak oddział por. Antoniego Stawarza przejmował 31 października 1918 r. austriacki odwach – główną strażnicę przy wieży ratuszowej w Krakowie. Żołnierze bez oporu oddawali broń przy gromkich wiwatach zebranego tłumu. Antoni Bożek wpadł do domu i zaczął w euforii zrywać wszystkie naszywki oraz dystynkcje z munduru.

„Mama myślała, że zdezerterował lub oszalał, a on na to: «Franiu, mamy Polskę! Mamy Polskę!». I zaczął palić to, co pozrywał”

– opowieść o tym dniu Maria słyszała niejeden raz. W 1920 r. zgłosił się jako ochotnik do wojska. Do końca życia – zmarł w 1968 r. – żałował, że się rozchorował i nie mógł pójść na Kijów. A ponieważ w latach stalinowskich powtarzał to przy każdej okazji – jak opowiada Krystyna, córka Marii – żona straszyla go:

„Przestań, przecież nas zamkną, a dzieci pójdą do ochronki”.

„»Ta ochronka« stała się zmorą mojego dzieciństwa, ponieważ słowo brzmiało groźnie, a ja nie miałam pojęcia, co to jest”

– śmieje się wnuczka Antoniego, chemik, pracownik naukowy Uniwersytetu Jagiellońskiego.

W głowach szumiała im młodość

Maria i Helena, urodzone w 1920 r. w Krakowie, kończyły to samo Prywatne Gimnazjum Żeńskie, założone w 1896 r. jako pierwsza na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej szkoła średnia dla dziewcząt z programem gimnazjów męskich, ochrzczone w 1926 r. imieniem Emilii Plater. Swoją siedzibę miało przy ówczesnej Wolskiej, wiodącej od Plant wzdłuż Błoń (dziś: ul. Piłsudskiego). W klasie uczyło się dwadzieścia katoliczek, dziesięć żydówek i dwie luteranki.

„Byłyśmy bliskimi przyjaciółkami, bez względu na wyznanie – mówiła Pani Maria. – Z Helą Goldstein siedziałyśmy w jednej ławce przez siedem lat, od pierwszego dnia szkoły”.

Katoliczki uczył religii dawny kapelan wojskowy, ks. dr płk Stanisław Meus. Często pojawiał się konno w pięknym mundurze Wojska Polskiego na Błoniach, gdzie dziewczęta wychodziły na długiej pauzie, a po maturze zaprosił wszystkie uczennice – bez różnicy – na staropolski miód do restauracji. Z żydówkami lekcje religii prowadził rabin – stary i mądry, a z luterankami – pastor. Do jedyne go zgrzytu, jeśli ten zabawny incydent zasługuje na takie określenie, doszło z powodu stopni z religii. Łagodny ks. Meus stawiał wszystkim uczennicom bardzo dobre, a rabin – tylko dobre. Matki żydówek zmówiły się wreszcie i poszły do rabina spytać, dlaczego ich córki ocenia niżej. Ten spojrzał na nie spod oka, uśmiechnął się i zapytał z żydowską intonacją: „A czy dobre to jest złe?”. Córka Pani Marii dodaje:

„W 1968 r. spytałam ciotkę Helę – tak mówiłam o Helenie – czy spotkała się przed wojną z przejawami antysemityzmu. Odpowiedziała stanowczo: »Ja nigdy«”.

Synagogi zwiedzały całą klasą z rabinem, kościoły katolickie z księdzem, a z pastorem chodziły do kościoła ewangelickiego przy Grodzkiej – dorastające panienki otaczała rzeczywistość kolorowa i różnorodna. Tworzyły zgraną paczkę, w głowach szumiała im młodość i rodziły się pomysły przeróżnych, nie zawsze mądrych psikusów. Kiedy odwiedzały synagogę Remuh przy Szerokiej na Kazimierzu, zostawiły przy grobie jednego z rabinów, którego postać obrosła legendą cudotwórcy, kartkę z prośbą, żeby nauczycielka niemieckiego wyłysiała – za przymus noszenia skarpetek. Coraz modniejsze stawało się wówczas chodzenie tylko w sandałach na bosych stopach. Dziewczęta pojawiały się w szkole naturalnie w mundurkach, ale coraz częściej bez skarpetek. Między uczennicami a profesorką rozpętała się „wojna skarpetkowa” – ona domagała się posłuchu, więc wkładały skarpetki tylko na lekcje niemieckiego, a przez pozostałą

część dnia defilowały bez nich.

Były też obozy i wycieczki. Kiedyś całą klasą pojechały na Cmentarz Obrońców Lwowa. Tak kształtował się ich patriotyzm – przywiązanie do Rzeczypospolitej walecznej, a zarazem barwnej, wielonarodowej i wielowyznaniowej.

W czterdziestym trzecim pod Mickiewiczem

Rodzina Heleny nie należała do szczególnie religijnych. Przed wojną jej ojciec prowadził zakład stolarski, starszy brat Beno pracował razem z nim, a młodszy, Józef Samuel, ukończył chemię. Matka nie przestrzegała żydowskich zasad: „Kiedy się do nich przychodziło na święta, na stole była maca, a obok leżała szynka” – śmiała się Pani Maria. A jej córka dodaje, że ortodoksyjna babka Heleny nigdy nie wzięła w domu własnej córki niczego do ust w obawie, że może zjeść coś niekoszernego.

„Hela bardzo nie lubiła jeździć na wakacje ze swoją babką – mówiła Pani Maria. – Musiała zrywać się bardzo wcześnie rano, żeby towarzyszyć gospodyni przy dojeniu krów. Mleko uznawano za koszerne tylko wtedy, gdy krowę doiła żydówka lub jeśli była przy dojeniu. No i biedna Hela stała w stajni bladym świtem, żeby babka wzięła mleko do ust”.

Słowo protestu było nie do pomyślenia, wychowana była przecież, podobnie jak Maria, w szacunku i posłuszeństwie wobec starszych. Całowała w rękę nie tylko swoją matkę, ale i matkę przyjaciółki. Gdy po maturze w 1938 r. dziewczętom przyszło się rozstać, spisały – katoliczki, żydówki i protestantki – uroczystą deklarację. Zachowała się do dziś duża karta papieru, na której Maria własną ręką nakreśliła nieco ponad rok przed wybuchem wojennego kataklizmu te słowa:

„My niżej podpisane zobowiązujemy się pod słowem honoru stawić się pod pomnikiem Adama Mickiewicza w Krakowie w dniu 1 czerwca 1943 roku o godzinie 11. Nieobecność usprawiedliwić należy depeszą nadesłaną do gimn. E. Plater”.

Niżej widnieje piętnaście nazwisk, między innymi Heleny Goldstein, Julii Grünbaum i Gustawy Reisman. Druga karta z resztą nazwisk zaginęła. Gdy składały podpisy, przewidując spotkanie za pięć lat, Maria spytała ni stąd, ni zowąd – sama nie wie dlaczego: „A jeżeli nie będzie pomnika?”. „Oszalałaś? Czemu nie miałoby być pomnika?” – zdumienie koleżanek był nieopisane. Jak daleko sięgały pamięcią, stał przecież w Rynku Głównym, między Sukiennicami a kościołem Mariackim, i zdawało się, że nic nigdy nie ruszy go z miejsca. Wszyscy umawiali się „pod Adasiem”. Tymczasem gdy nadszedł czerwiec 1943 r., pomnika nie było. I to już od prawie trzech lat. Niemcy zburzyli monument 7 sierpnia 1940 r., a mieszkańcy Krakowa do końca okupacji starannie obchodzili puste miejsce po nim.

Maria Bożkówna wybrała w 1938 r. matematykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, ponieważ ceniła logikę i ścisłość rozumowania. Helena Goldstein poszła na Akademię Handlową, poprzedniczkę dzisiejszego Uniwersytetu Ekonomicznego.

„Ludzie! Sowieci!”

Jednym z ostatnich pociągów ewakuacyjnych rodzina Bożków wyjechała we wrześniu 1939 r.

w kierunku Lwowa, gdyż ojciec dostał kartę mobilizacyjną do Zimnej Wody (dziś na Ukrainie). Pod Jarosławiem na pociąg spadły niemieckie bomby – wtedy Maria zobaczyła po raz pierwszy zabitych. Kiedy o tym mówiła, koszmar sprzed prawie osiemdziesięciu lat wracał i nie mogła powstrzymać łez. Uciekając, zostawili w płonących wagonach wszystko – ocalała tylko walizeczka matki z biżuterią – i ruszyli dalej pieszo. W wioskach ukraińskich na Rostoczu nie witano ich przyjaźnie. Pojawili się nawet tamtejsi mieszkańcy z siekierami, więc Polacy sformowali kolumnę: kobiety i dzieci do środka, a po bokach mężczyźni uzbrojeni w sztachety wyrwane z płotów. Napastnicy wycofali się. Przeszli wreszcie most na Sanie – i wtedy nadjechali polscy ułani przedzierający się na zachód. „Ludzie, dokąd wy idziecie! Sowietci!” – krzyczeli. Był 17 września.

Antoni natychmiast zdecydował: „Wracamy do Niemców. Pod Sowietami wy, kobiety, może przeżyjecie, ale Edmund i ja nie mamy szans”. Matka z młodszą córką przepłynęły San łodzią, a Maria z ojcem i bratem przedostali się na drugi brzeg brodem. Znow musieli przejść przez wrogie ukraińskie wsie – byle dotrzeć na tereny zajęte już przez Niemców. Łudzili się, że tam będzie bezpieczniej. Gdy wrócili do domu, przybiegła do nich Helena.

„Przyniosła mi swój ciepły płaszcz, przecież mój przepadł w pociągu – wspominała Pani Maria. – Ktoś inny przyniósł buty. Okazało się, że brat Heli, Józef Samuel, dostał się do niewoli sowieckiej. Mógł skończyć w Katyniu, Charkowie czy Kalinie, bolszewicy przekazali go jednak w ramach wymiany ludności Niemcom, bo wiedzieli, jaki los czeka go u nich jako Żyda. Ale uciekł Niemcom, dotarł do Krakowa z poranionymi do kolan nogami – i poszedł później z rodzicami do getta, skąd wywieźli go do Birkenau, gdzie cudem przeżył”.

Pani Maria zapłaciła za wrześniową przeprawę przez San zapaleniem stawów i kilkoma miesiącami w szpitalu. Ojciec też chorował, więc pierwszy rok okupacji przeżyli tylko dzięki biżuterii Franciszki. Sprzedawali, co mogli, po wsiach za jedzenie i klepali biedę. Maria dostała wreszcie pracę na Starym Mieście, w sklepie bławatnym, jak się wówczas mówiło o składzie materiałów.

Po dwa metry na człowieka

Zaczął się dramatyczny czas w życiu dwóch młodych kobiet. Żydów pod okupacją niemiecką objęto specjalnym ustawodawstwem: za ukrywanie ich, pomoc, w tym dostarczanie żywności czy udzielenie schronienia choćby na chwilę, groziła kara śmierci. W przeciwieństwie do okupowanych krajów Europy Zachodniej na ziemiach polskich za podanie Żydowi kromki chleba rozstrzeliwano. Egzekucję przeprowadzano na miejscu zdarzenia (*an Ort und Stelle*). Stosowano przy tym zasadę odpowiedzialności zbiorowej: razem z pomagającymi ginęli ich rodzice, żony, mężowie i dzieci, nawet sąsiedzi. Szykany zaczęły się już 23 listopada 1939 r. Hans Frank, mianowany przez władze III Rzeszy „generalnym gubernatorem dla okupowanych polskich obszarów”, wydał rozporządzenie nakazujące

„wszystkim żydom i żydówkom, przebywającym w Generalnym Gubernatorstwie, a mającym ukończone 10 lat życia”,

by od 1 grudnia 1939 r. nosili

„na prawym rękawie ubioru i wierzchniego ubioru biały pasek o szerokości co najmniej 10 cm, zaopatrzony w gwiazdę syjońską”.

Od 1940 r. Żydów spędzano do gett, gdzie tłoczyli się w nieludzkich warunkach, umierając z głodu. W Krakowie, ogłoszonym stolicą Generalnego Gubernatorstwa na mocy dekretu Hitlera z października 1939 r., na getto przeznaczono w marcu 1941 r. wydzieloną część dzielnicy Podgórze. Hans Frank ogłosił, że *urdeutsche Stadt Krakau* powinien się stać „najczystszy miastem Generalnego Gubernatorstwa” – pod względem „rasowym”, rzecz jasna. Ponieważ Niemcy kazali Żydom w krótkim czasie, bo do 20 marca, opuścić Kazimierz, ich historyczną dzielnicę, na ulicach rozgrywały się dantejskie sceny: przerażeni ludzie ciągnęli w pośpiechu wózki ręczne z całym dobytkiem, przewracając się i mdlejąc ze zmęczenia, a wozy meblowe najbogatszych wjeżdżały na siebie, blokując drogę. Wielu Polaków zmuszono do zajęcia opuszczonych mieszkań na Kazimierzu. Jeden z nich wspominał:

„Musieliśmy przekroczyć Wisłę, podobnie jak wiele innych rodzin. Na jednym brzegu byliśmy my – przybyli z Podgórza, na drugim Żydzi, którzy przybyli z Kazimierza. Pamiętam ciszę tej przeprowadzki. Ta cisza zamieniła się w żalobę”.

Na powierzchni ok. 20 hektarów, podzielonej piętnastoma ulicami, Niemcy kazali mieszkać 16 tys. Żydów, więc na jedną osobę przypadały średnio dwa metry kwadratowe – a wcześniej mieszkało tam nieco ponad 3 tys. ludzi.

„Nie idź do getta”

Maria starała się powstrzymać szkolne koleżanki przed zgłoszeniem się do getta. Wybrała się do Zalasza za Krzeszowicami, gdzie ukrywała się Julia Grünbaum i przekazała błagania jej rodziców, by córka się stamtąd nie ruszała:

„Jechałam jakimś rozklekotanym autobusem, a potem szłam przez las do przysiółku Wrzosek – wspominała Pani Maria. – Powiedziałam jej: »Siedź tu, rodzice proszą, żebyś nie przyjeżdżała do Krakowa. Oni idą do getta.« Naturalnie wróciła. I wzięli ją z rodziną pierwszym wielkim transportem do Bełżca przeprowadzonym w czerwcu 1942 r.”.

Także Helenę chciała przekonać, by została po „aryjskiej” stronie:

„Kiedy zaczęli ich pędzić do getta, tłumaczyłam jej: »Nie chodź tam«, ale ona odpowiadała: »Nie zostawię rodziców«. Dałam jej w końcu spokój – przecież postąpiłabym tak samo, gdybym była w jej sytuacji”.

Przez pierwsze tygodnie stosunkowo łatwo było dostać przepustkę do Żydowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej w Krakowie, jak brzmiała oficjalna nazwa getta. Pani Maria bywała tam często – nigdy z pustymi rękami. Zanosila żywność, lekarstwa i inne potrzebne rzeczy nie tylko Helenie, ale i Julii Grünbaum oraz innym przedwojennym znajomym.

„W Rynku Podgórskim był posterunek, gdzie wydawali przepustki. Mówiłam tam: »Mój

krawiec szyje płaszcz, idę do miary i muszę później go odebrać». Inni tłumaczyli, że mają u Żydów pieniądze do odebrania, często też, że szewc w getcie robi im buty. Niemcy nie mogli się nadziwić, że cały Kraków zamawia odzież i buty u żydowskich rzemieślników”.

Fetor palonych ciał

Duże wywózki nastąpiły w czerwcu 1942 r. – wtedy Niemcy zabrali ojca Heleny, a 28 października, podczas kolejnego „przesiedlenia na wschód” – jak uzasadniali cel deportacji – także matkę i młodszego brata, Beno. Haniebną rolę odegrały judenraty, Rady Żydowskie utworzone w gettach przez Niemców w miejsce gmin żydowskich, i podlegli im odemani – funkcjonariusze Żydowskiej Służby Porządkowej (*Jüdischer Ordnungsdienst*, OD), potocznie zwanej policją żydowską. Na czele OD w Krakowie stał Szymche Spira, wcześniej szklarz. Z dnia na dzień został ważną figurą w getcie, jego ludzie wyłapywali Żydów ukrywających się przed zagnaniem do transportu i blokowali w czasie akcji ulice. Członkowie judenratów kupowali sobie – jak wierzyli – życie, pomagając w rejestracji Żydów i spisywaniu ich majątków, organizacji gett, wysyłkach do obozów śmierci. Helena z rodziną żyła zatem od początku w śmiertelnym strachu nie tylko przed Niemcami, ale i przed swoimi.

Dokąd jechały pociągi z Żydami w 1942 r.?

„Wieści o losach transportów docierały do nas szybko od kolejarzy – opowiadała Pani Maria. – Twierdzili, że składy wjeżdżały za Rzeszowem w lasy, prawdopodobnie chodziło o Bełzec. Mówili też, że w powietrzu unosi się fetor palonych ciał”.

Ginęły tam, nieopodal stacji kolejowej w Bełcu, od marca 1942 do czerwca 1943 r., w ramach akcji *Reinhardt*, setki tysięcy ludzi z terenu Generalnego Gubernatorstwa, głównie z utworzonego przez Niemców tzw. dystryktu Galicja, obejmującego dawne województwa lwowskie, stanisławowskie oraz tarnopolskie. Liczbę ofiar niemieckiego obozu zagłady *SS-Sonderkommando Belzec der Waffen SS* oblicza się na około pół miliona Żydów, z których większość stanowili obywatele II Rzeczypospolitej. Mordowano tam również w komorach gazowych Żydów węgierskich, austriackich, słowackich, czeskich i niemieckich.

„Druga taka sama jak ja”

Romuald Bartel, znajomy dziewcząt, student medycyny, syn lekarza wojskowego, krewny premiera II Rzeczypospolitej Kazimierza Bartla, wchodził do getta nawet w czasie najszczelniejszej blokady. Jak? Tego Pani Maria nie wiedziała. W październiku 1941 r. pojawił się u niej z wiadomością:

„Hela siedzi na łóżku nieumyta, nieuczesana, nic nie je. Siedzi i jak zwierz wygląda. I mówi tylko o tym, że ojciec, matka i brat poszli”.

Decyzja zapadła szybko.

„Teraz nie ma już najmniejszego sensu, żeby siedziała w getcie, więc ją stamtąd wyciągniemy – oświadczyła stanowczo Maria. – Pójdiesz do niej i każesz jej zrobić

fotografię do kenkarty”.

Helena przesłała zdjęcie przez Romka.

„A my kupiliśmy pusty blankiet kenkarty ze wszystkimi niezbędnymi pieczętami i podpisami. Można było bardzo drogo dostać gotową kenkartę ze świadectwem chrztu, ale nie było nas na to stać. Do dziś nie wiem, jak załatwiono, żeby na fotografię zachodził odcisk pieczęci. Może przez jakąś komórkę legalizacyjną AK? Zapłacił za tę kenkartę, jak się potem okazało, Romek, więc pieniądze na nią odłożone dałam potem Heli na drogę”

– i znów ten sam rzeczowy ton, bez cienia emocji, które musiały jej przecież wówczas towarzyszyć.

Pozostawało pytanie, jakie dane wpisać. Pomysł Marii był tyleż prosty, co ryzykowny. Postanowiła wykorzystać własne personalia. „Będzie druga taka sama jak ja” – oświadczyła Romkowi, a ten wypełnił formularz, by nie ryzykować, że Niemcy w razie wpadki rozpoznają pismo Marii. Dołączyła odpisy swoich świadectw chrztu i maturalnego. O to pierwsze poprosiła księdza w parafii, gdzie była chrzczona i ten wystawił je, o nic nie pytając. Do kompletu dorzuciła kartę tramwajową.

Codziennie rano Niemcy wyprowadzali tysiące ludzi z białymi opaskami z gwiazdą Dawida na prawym rękawie do pracy w mieście. Helenie trafiło się sprzątanie w budynku przy Kopernika. I to była dla niej szansa. Należało ją wykorzystać, bo mogła być ostatnią. Kilka dni wcześniej starszy brat Heleny podał Marii przez druty walizkę z rzeczami. Umówiły się w bramie przy Kopernika.

„Poszłam specjalnie do lekarza i poprosiłam o jeden dzień zwolnienia, inaczej by mnie nie puścili z pracy. Powiedziałam, że muszę zrobić badania lekarskie – dla bezpieczeństwa, gdyby mnie ktoś zobaczył przy Kopernika, gdzie za okupacji, jak dzisiaj, były szpitale”

– wyjaśniała.

Listy do „ojca”

Maria nie wzięła Heleny do siebie, żeby jej nie rozpoznały dzieci sąsiadów, którym dawała przed wojną cukierki.

„Kolejarze żyli jak jedna rodzina, znali ją doskonale. Do dorosłych miałam zaufanie, ale dzieci mogły się wygadać, nie bardzo rozumiały sytuację. Zresztą, to były takie czasy, że lepiej było jak najmniej wiedzieć”

– wyjaśniała Pani Maria.

Poszły do mieszkania Romualda Bartła przy Mikołajskiej, gdzie mieszkał ze starszym bratem, także studentem medycyny. Ich ojciec Alfred, lekarz wojskowy w stopniu pułkownika, trafił do sowieckiego obozu dla polskich jeńców wojennych w Starobielsku i został rozstrzelany przez

enkawudzystów. Matka obu chłopaków, która zajmowała sąsiednie mieszkanie, nie mogła się nadziwić, dlaczego Romek nagle zaczął dużo więcej jeść. Po trzech dniach pojawiła się ich wspólna znajoma z gimnazjum, o rok starsza Zofia Wolmuth, tkwiąca głęboko w konspiracji. Mieszkała w Warszawie i bywała czasem w Krakowie, zatrzymując się zawsze w domu rodziny Bożków, gdzie nikt jej o nic nie pytał. Zabrała Helenę do Warszawy, bowiem przebywanie dwóch osób o identycznych danych w Krakowie niosło z sobą zbyt wielkie ryzyko wpadki. W Warszawie ludzie z Armii Krajowej załatwili Helenie pracę: zapowiadała na Dworcu Głównym pociągi po polsku i niemiecku – ten język znała świetnie ze szkoły. Kilka razy musiała zmieniać mieszkanie. Zdarzało się, gdy wracała do domu, że zatrzymywały ją dzieci i ostrzegały: „Niemcy o panią pytali”. Uszła z życiem, gdy złapali ją na ulicy Żydzi – agenci niemieccy polujący na Żydów w mieście. Wieźli ją do getta fiakrem, ale na skrzyżowaniu zwolnili i jeden z nich powiedział: „Jesteś młoda, wyskakuj, może przeżyjesz”. Wtedy uciekła.

Pani Maria niewiele wiedziała o życiu przyjaciółki w Warszawie – przecież wszystko odbywało się w najgłębszej tajemnicy. Helena przez dłuższy czas mieszkała w willi na Żoliborzu, gdzie działała placówka Armii Krajowej. Wysyłała co miesiąc do Marii list, adresowany na nazwisko „ojca”, Antoniego Bożka. „Nie mogła przecież Maria Bożek pisać do Marii Bożek” – śmiała się. W adresie zwrotnym Helena podawała tylko inicjał imienia – listonosz znający wszystkich od lat zdziwiłby się zapewne, gdyby Maria, którą widywał dzień w dzień przy Wielickiej, pisała równocześnie z Warszawy. Helena dawała czasem listy kolegom z pracy z prośbą, żeby przechodząc koło skrzynki pocztowej, wrzucili kopertę. Tak utwierdzała ich w przekonaniu, że jest z Krakowa i ma tam rodziców.

Po wyjeździe Heleny Maria utrzymywała jeszcze przez jakiś czas kontakty z Gustawą Reisman, ukrywającą się w podkrakowskich wsiach. Kiedy dziewczyna zdobyła bardzo dobre „aryjskie” papiery, wyjechała do Warszawy z dwoma braćmi i mężem. Nie uszli jednak śmierci: jeden z braci zginął, kiedy nie wytrzymał nerwowo na widok niemieckiego patrolu i zaczął uciekać – dosięgły go kule. Gustawa, jej mąż oraz drugi brat zginęli w czasie rzezi Woli.

► [Czytaj całość na portalu przystanekhistoria.pl](http://przystanekhistoria.pl)

[Poprzedni Strona](#)

[Następny Strona](#)

Artykuł



Maria Bożkówna przed II wojną światową. Fot. ze zbioru Rodziny Nowaków (Marii Bożek - Nowak)



Helena Goldstein przed II wojną światową. Fot. ze zbioru Rodziny Nowaków (Marii Bożek - Nowak)